

Marek Stachowski

Turkologia, etymologia i ja (Wspomnienia wybrane)



Turkologia, etymologia i ja
(Wspomnienia wybrane)

Marek Stachowski

Turkologia, etymologia i ja
(Wspomnienia wybrane)



— Kraków 2025 —
Księgarnia Akademicka

Redakcja

Zespół

Skład i projekt okładki

Kamil Stachowski

© Copyright by Marek Stachowski

Grafika na okładce wygenerowana w Google Imagen

ISBN 978-83-8368-396-6 (druk)

ISBN 978-83-8368-397-3 (pdf)



Wydawnictwo Księgarnia Akademicka

ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków

tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43

e-mail: publishing@akademicka.pl

<https://akademicka.pl>

Spis treści

Spis treści	5
Wprowadzenie do wspomnień	7
Kartkując indeks i inne wspomnienia	21
Dzienniki i wspomnienia 1984–2024	85
Wspomnienia rozproszone	307
Bibliografia z komentarzami 1984–2024	313
Kalendarium	415
Konferencje, odczyty i wykłady 1987–2023	417
Goście zagraniczni, których zapraszałem do Krakowa 1989–2017	429
Kilka książek z moich wspomnień	431
Moja twórczość radosna (na dwóch przykładach)	437
Literatura cytowana	439
Wybrane skróty	451
Indeks osób	455
Galeria	467

Ciąg dalszy być może nastąpi

Wprowadzenie do wspomnień

Swoje wspomnienia o skandynawście rosyjskim Michaiile I. Stieblin-Kamienskim rozpoczął Walery P. Bierkow (Berkov 2009: 300) od przypomnienia myśli Stieblin-Kamienskigo, że pamięć działa jak samowolny i kapryśny aparat fotograficzny, który co jakiś czas sam robi zdjęcie, utrwalając w ten sposób rozmaite momenty z życia, bynajmniej nie zawsze najważniejsze. To bez wątpienia całkiem trafna obserwacja. Ja ze swej strony dodałbym jeszcze, że ów aparat sprzęgnięty jest z równie samowolnym i kapryśnym projektorem, który zdjęcia wyświetla nam w dziwnych momentach życia, zwykle, kiedy sam chce, i nie zawsze w logicznej kolejności, a potrafi też czasem pokazać nawet nie-dawno widziany i, zdawałoby się, doskonale zapamiętany obraz w nie-oczekiwanym zamgleniu, dziwacznie zniekształcony, albo na odwrót: jedno wspomnienie wywołuje z zakamarków pamięci z dużą wyrazistością coś, co, wydawałoby się, całkiem już poszło w zapomnienie – dobrze to oddaje tytuł wspomnień S. Bernsztejna (2002): „Zygzaki pamięci”. Doświadczenie to staje się z czasem udziałem każdego, nieraz także w całkiem młodym wieku. Toteż nie odważyłbym się napisać autobiografii z pamięci, ale odważyłem się zebrać dawne zapiski swojego (nie bardzo regularnie prowadzonego) dziennika naukowego, przejrzeć zachowane w szufladach kalendarzyki, obejrzeć albumy ze starymi zdjęciami, przekartkować indeks ze studiów i skompilować z tych

materiałów tom wspomnień, czasem tylko impresji, bez ambicji pełnego i w każdym calu wyważonego opisu autobiograficznego. Przez całe życie z przyjemnością czytywałem wspomnienia i dzienniki uczonych, toteż uznałem, że chyba nadszedł już czas, żebym i ja dał innym lekturę, jaka mnie samego pewnie by zainteresowała.

W innych okolicznościach (gdybym był na przykład pisarzem-noblistą) ośmieliłbym się powiedzieć, że niniejszy tom to ledwie materiały do przyszłej biografii. Ponieważ jednak nie jestem pisarzem-noblistą i szczerze wątpię, żeby ktoś kiedyś miał napisać moją biografię, pragnąłbym, aby te materiały, choć niepełne i ułomne, przyjęli Czytelnicy z łaskawą wyrozumiałością.

Początkowo myślałem o nadaniu tym wspomnieniom tytułu „Marzenia o życiu nudnym”, bo faktycznie nie lubię przygód i niespodzianek (pod tym względem mam naturę naszego labradorka Wezyra). Ale ostatecznie uznałem, że taki tytuł jest zbyt mało informatywny.

Podtytuł „Wspomnienia wybrane” ma swoje uzasadnienie. Opuszczam mianowicie niektóre fragmenty Dzienników, jeśli wydaje mi się, że jest na razie za wcześnie, żeby je publikować. Te wspomnienia nie mają być wylewaniem pretensji przed Czytelnikiem (choć w kilku miejscach trochę mi się udało..., ale to może i dobrze, żeby nie sprawiać wrażenia przesadnej cukierkowości – nie, nie wszystko w moim życiu było samą słodyczą, ale na razie pozostanmy przy rzeczach miłych z drobnym dodatkiem dziegciu; nie chcę sobie mącić przyjemności wspomniania złymi myślami). Fragmenty opuszczone oznaczam wielokropkiem w nawiasie kwadratowym: [...]; niektóre fragmenty pomijam też bez specjalnego oznaczania (np. gdy opuszczony jest zapis całego dnia, tak że pozostałaby sama data i wielokropek). Zdarza się również, że chcę opowiedzieć jakąś historię, ale nie chcę wyjawiać niektórych nazwisk; wówczas w ich miejsce wpisuję ogólną informację w nawiasie kwadratowym, typu „wtedy podszedł do mnie [pewien kolega] i powiedział” albo zamiast nazwiska piszę: [XY]. O pewnych osobach tu nie wspominam przez czysty przypadek, ale o innych nie piszę zupełnie celowo (i lepiej

dla nich, że nie piszę). Pełną wersję swoich Dzienników zachowuję jednak w archiwum domowym (to jest taka moja „Tajna Historia”, którą oddam do dyspozycji swoim synom), może na przyszłość się przyda, kto to wie. W archiwum (papierowym i komputerowym) pozostaje również korespondencja z rozmaitymi osobami. Niektóre listy muszą jeszcze zdecydowanie poczekać na swój czas.

Terminu „turkijski” nie ma jeszcze w starszych wspomnieniach (przed 1998 r.). Zachowałem bez zmian postacie typu „języki tureckie, język staroturcki” tak, jak wtedy jeszcze rzeczywiście mówiliśmy. Dziś jednak nierozróżnianie tych dwu terminów świadczy o pewnej ułomności metodologicznej, to tak, jakby – mając odpowiednie terminy do dyspozycji – zrezygnować z rozróżnienia „polski a słowiański” czy „rumuński a romański”.

Zwykle jestem czuły na przestrzeganie zasad ortografii, ale w jednym punkcie czynię odstępstwo: nieoznaczanie liczebników porządkowych jest jakimś kolosalnym nieporozumieniem o niezrozumiałym dla mnie rodowodzie. Zapis „1 rozdział” można czytać „jeden” albo „pierwszy”; zapis „w ciągu lat 80” może oznaczać „osiemdziesięciu” albo „osiemdziesiątych”, a w zdaniu „Na dworzec dotarła grupa żołnierzy, ok. 15” można czytać „piętnastu” albo „piętnastej”. Jaki sens ma regulacja ortograficzna, w wyniku której nie wiadomo, jak to czytać? Inaczej mówiąc: jest to taka zasada pisania liczebników cyframi, że najlepiej je pisać słowami. Choć funkcje składniowe wyrazu w zdaniu poznaje się w językach słowiańskich po sufiksach fleksyjnych (swój pogląd na rozróżnianie terminów „sufiks” i „końcówka” przedstawiłem w nrze 277, zob. Bibliografia z komentarzami), w wypadku liczebników porządkowych nie wolno zapisywać akurat tych właśnie sufiksów. Gdzie tu jest logika? Notacja typu „w ciągu lat 80-tych” jest wyklęta z powodów, których nie znam i nie potrafię sobie wyobrazić posługując się rozumem. Nota bene, po fińsku zapis z myślnikiem (1980-*luvulla*), a po turecku z apostrofem (1980-*lerde*) jest absolutnie normalny; widocznie inne „narody z deklinacją” też, tzn. tak samo jak ja, nie widzą powodu, żeby

wyklinać zapisywanie sufiksów przy liczebnikach. Nie rozumiejąc tego ograniczenia i nie bojąc się kłótny normatywistów, stosuję zapis liczebników porządkowych z kropką lub z myślnikiem i sufiksem, tj. „lata 80.” albo „lata 80-te”, bo taki i tylko taki zapis jest jednoznaczny i ułatwia czytanie (a wiem, co mówię, bo często czytam).

W tej, jak i w szeregu innych spraw, nie zawsze jestem konsekwentny. Na niniejszy tom złożyły się jednak zapiski sporządzane w różnych okresach przez około 40 lat. Trudno spodziewać się w takiej sytuacji konsekwencji. Prawda, jakiś pedant mógłby powiedzieć, że powinienem wszystko ujednolicić. Nawet próbowałem, ale zajmowało to mnóstwo czasu, wymagało zmieniania zapisów z minionych lat, a więc w jakimś sensie fałszowania oryginalnych zapisków, a nie wiadomo, czemu miało służyć oprócz (niepewnego zresztą) zadowolenia redaktora w wydawnictwie (na czym mi mało zależy). To pytanie o cel takiego ujednolicania jest dla mnie zasadnicze – nie widzę go. Już i tak mam dość podporządkowywania się redaktorom w czasopiśmie, z których każde ma inny style sheet i całą tę pracę musi wykonać autor (dawniej robili to redaktorzy i zecerzy), choć akurat autor powinien skupić się na meritum, nie na technikaliach. I dlatego autorom w SEC-u pozwalałem robić bibliografię tak, jak sami chcieli i byli przyzwyczajeni. W pełni zgadzam się z Bertholdem Lauferem (1919: 188), gdy wyznaje on „I do not believe in superconsistency in purely technical matters”. Ja też nie.

**

Francuski psychoterapeuta Octave Mannoni zatytułował pierwszy rozdział swojej monografii o Zygmuncie Freudzie słowami samego Freuda: „Mein Leben ist nur von Interesse in seiner Beziehung zur Psychoanalyse” (Mannoni 1971: 7). Mam wielką pokusę powiedzieć podobnie o sobie, na przykład „Najciekawsza część mojego życia to językoznawstwo”.

Albo żeby inaczej ująć tę myśl: Kiedy przedwcześnie zmarł w Hamburgu mój przyjaciel Eugene (~ Eugen, dla przyjaciół Żenia) Helimski (= Евгений Хелимский; transkrypcji prosimy nie poprawiać, zob. podrozdział o nim), jego uczennica Anna Widmer napisała zaraz w pierwszym akapicie nekrologu o nim bardzo trafnie: „Er war einfach durch und durch Wissenschaftler” (Widmer 2009: 31). Może to nas właśnie najbardziej z nim łączyło – ja też się czułem i czuję do dziś na wskroś naukowcem. Jest nas takich naturalnie więcej, choć dziś, pośród oceanu urzędników od nauki, którzy wychodząc z instytutu zapominają o pracy, nie odważamy się częstokroć mówić z podniesionym czołem, że żyjemy dla nauki. W XIX wieku było to łatwiejsze i wielki sanskrytolog, a ponadto twórca pierwszej pracy o języku jakuckim, zawierającej przy tym po raz pierwszy podstawy fonetyki porównawczej języków turkijskich, Otto von Böhtlingk (tak!, nie *Böth-) mógł otwarcie mówić o *Wissenschaft* [!], *der ich von ganzer Seele lebe* (Stache-Weiske 2017). Miejmy odwagę i my tak czuć i mówić.

Ani nie mam ochoty, ani nie widzę wielkiego sensu opowiadać o swoim przedszkolu i szkole podstawowej, o koloniach letnich, kuzynach, maturze itp. Moje, by tak rzec, właściwe życie zaczynało się dwukrotnie: w sierpniu 1975, to jest w ostatnim tygodniu wakacji przed klasą maturalną, kiedy poznałem Halinkę, moją przyszłą żonę, i w październiku 1976, kiedy zacząłem studia filologii tureckiej (Halinka w tym samym roku zaczęła studia germanistyki). Wcześniej jeszcze były egzaminy na te studia. A że były one swego rodzaju preludium do życia właściwego, opowiem o nich pokrótce.

Zdawało się wówczas na filologię orientálną, a nie konkretnie na turkologię, indianistykę itd. System ten był dość wygodny, ponieważ pozwalał łatwiej przechodzić z jednej filologii na drugą w obrębie ówczesnego Instytutu Filologii Orientalnej (przejścia pomiędzy instytutami nie były wówczas ani łatwe ani społecznie dobrze widziane; podejrzewano, że osoba zmieniająca kierunek studiów po prostu sobie nie radziła, jest więc słabym studentem, a zmiana zainteresowań

to tylko pretekst). Egzaminów wstępnych na orientalistykę było pięć: dwa języki obce, każdy pisemnie i ustnie, oraz gramatyka polska z elementami literatury. Na języki wybrałem niemiecki i rosyjski.

Test, zwłaszcza z niemieckiego, był bardzo trudny i błogosławiłem swojego licealnego germanistę Andrzeja Feliksa, że w ramach poszerzonego kursu języka niemieckiego, jakim szła moja klasa (była to wówczas jedyna [!] klasa językowa w Krakowie – istniała w I LO, tzn. w tzw. Nowodworku), po przerobienu materiału liceum w trzy lata całą klasę maturalną poświęcił na powtórki i ćwiczenia m.in. zamiany zdań wprost na mowę zależną – bardzo mi się te ćwiczenia przydały, gdy zobaczyłem na teście bajkę ze zdaniami typu „Lis powiedział: Podejdź bliżej, zając. Na to zając: Proszę, nie rób mi krzywdy”. Zamiana ich na „Lis powiedział, żeby zając (*er solle*).... Na to zając poprosił, żeby lis (*er wolle, er möge*) ...” były dla mnie po całorocznych ćwiczeniach bagatelą, ale przypuszczalnie większość zdających miała z nimi problem. Feliksa lubiłem także za jego czas, który znajdował, żeby z nami rozmawiać i za jego zrozumienie dla nas. Lubiałem go, będąc uczniem, po prostu jako człowieka. Ale był też naprawdę dobrym nauczycielem. Lekcje niemieckiego mieliśmy codziennie; przy czym, jeśli się nie mylę, w dwa dni tygodnia mieliśmy po dwie lekcje, w cztery dni po jednej (do szkoły chodziło się wtedy także w soboty, wolne były tylko niedziele; to i tak nic w porównaniu z braćmi Humboldtami, którzy nauki pobierali „[d]wanaście godzin dziennie przez cały tydzień, bez przerwy ani wakacji” [Kehlmann 2007: 15]). Pierwszy tydzień nauki niemieckiego Feliks poświęcił w całości na uczenie nas fonetyki. To musiało być dla niego strasznie nudne, ale osiągnął to, że znakomita większość jego uczniów umiała poprawnie wymówić nie tylko *ö* i *ü*, ale też rozróżniała krótkie szerokie *ä* [ɛ] od długiego napiętego *e* [e:].

Rosyjskiego również się nie bałem. Po pierwsze, miałem w liceum dobrą nauczycielkę rosyjskiego Ewę Grząkę, która była też naszą wychowawczynią, a po drugie, lubiłem ten język i dla własnej przyjemności czytałem sam na przykład opowiadania Gorkiego w domu w oryginale.

Co nie znaczy, że nigdy nie popełniałem błędów. Pamiętam takie zdarzenie z którejś lekcji rosyjskiego:

Grząka uczułała nas akurat na to, że znak miękkiej w wygłosie oznacza miękkość poprzedzającej spółgłoski, więc mamy to zawsze uwzględnić w wymowie. Ja jednak zaoponowałem:

— Nie zawsze, bo na przykład w wyrazie *любовь* ['miłość'] jest w piśmowni znak miękkiej w wygłosie, a w wymowie jest twarde -f.

— W twojej wymowie rzeczywiście – zgasiła mnie Grząka.

Nie mogłem się nie roześmiać. Zresztą śmieszy mnie ten dialog i dziś. Jedna nauczka więcej: niebezpiecznie jest opisywać fonetykę języka obcego na podstawie własnej wymowy.

Przez jakiś czas mieliśmy zastępstwo (o ile pamiętam, Grząka była wtedy na jakimś kursie w Moskwie) i nowa nauczycielka rosyjskiego też mi bardzo odpowiadała (niestety, nie zapamiętałem, jak się nazywała), bo lubiła gramatykę. Spytała, czy ktoś z nas chciałby przygotować referat o zasadach tworzenia liczby mnogiej w rosyjskim. Natychmiast się zgłosiłem i praca nad tym referatem była dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Tak więc egzaminów z rosyjskiego, niemieckiego i gramatyki polskiej się nie bałem, ale literatury nie bardzo chciało mi się uczyć. Uznałem wręcz, że co tam, w najgorszym razie jedno pytanie mogę załatwić. Tak było aż do dnia egzaminu z polskiego. Wtedy straciłem cały rezon. Z domu poszedłem po Halinkę i razem pomaszzerowaliśmy ulicą Karmelicką na egzamin. Po drodze zapragnąłem dodać sobie animuszu i poprosiłem Halinkę (była znacznie lepsza ode mnie z literatury polskiej), żeby mi zadała jakieś pytanie, a ja na nie odpowiem. Pytanie było krótkie: „Walka starej i młodej prasy”. O, mamusi! Błado pamiętałem, że było coś takiego w pozytywizmie, ale nic więcej. Halinka chciała mi opowiedzieć, ja oponowałem, bo i po co mi akurat to jedno wiedzieć, skoro reszty i tak nie znam, ale Halinka mimo wszystko zaczęła opowiadać. To nie do wiary, ale na części literackiej egzaminu wylosowałem pytanie o spór starej i młodej prasy. Opowiadałem całkiem gładko

wszystko, co zapamiętałam na Karmelickiej, żyjąc nadzieją, że nie zadadzą dodatkowych pytań. Uff, nie zadali. Przeszliśmy do gramatyki. W Komisji był wówczas między innymi bohemista-literaturoznawca Jacek Baluch. Zadał mi pytanie:

— Pan się uczył niemieckiego. To proszę mi powiedzieć, czym się różni wymowa samogłosek długich w niemieckim od wymowy tychże w czeskim.

Trudno to doprawdy nazwać pytaniem z gramatyki polskiej i niesprawiedliwie było wymagać ode mnie znajomości fonetyki czeskiej. Ale to nie był dla mnie dobry moment, żeby krytykować członka Komisji. Odpowiedziałem mniej więcej tak:

— Nie znam czeskiego, ale przypuszczam, że w czeskim różnica iloczasowa dotyczy tylko innego czasu trwania artykulacji. Natomiast po niemiecku samogłoski długie są zwykle też wąskie i napięte.

Z miny pytającego widziałem, że nie zrozumiał odpowiedzi. Później dowiedziałem się, że Baluch nie zna niemieckiego, i sam słyszałem po latach na jednym jego referacie konferencyjnym, że niem. *Vieh* 'bydło' wymawia tak samo jak wie 'jak', tzn. oba niepoprawnie: [ví]. Dalszych pytań z gramatyki polskiej nie pamiętam. Nie wykluczam nawet, że poloniści po tej mojej odpowiedzi już się nade mną ulitowali i dali mi spokój. Tak czy inaczej, ostatni egzamin był zdany.

Zainteresowania językoznawcze odziedziczyłem po tacie, Stanisławie, absolwencie filologii słowiańskiej (specjalność: serbokroatystyka i sorabistyka), który jeszcze w czasie studiów zaczął uczyć się na zajęcia turkologiczne i uczył się też innych języków, m.in. rumuńskiego. Mimo tych dwóch dodatkowych języków i biernej znajomości greki nie dane mu jednak było stworzyć bałkanistyki (zresztą filologie obce na UJ do dziś się jej nie dorobiły). Kiedy zrobił habilitację, zaproponowano mu stanowisko docenta na orientalistyce – jak mi to tato wyjaśniał w domu, na sławistyce podobno nie było wolnego etatu docenta, co się odbijało na pensji taty, a na orientalistyce taki etat był (ponieważ jednak wolny etat nie jest przywiązany do stopnia czy tytułu

naukowego, wytłumaczenie to przekonywało mnie tylko w czasach licealnej młodości, kiedy nie orientowałem się zupełnie w kwestiach administracyjnych uniwersytetu; w tej sprawie istnieją też inne, bardziej przekonujące wersje i komentarze, ale ten aspekt na razie przemilczamy; w każdym razie slawistyka łatwym sposobem straciła, a orientalistyka łatwym sposobem zyskała doktora habilitowanego, a potem profesora na wiele lat). Tato przeszedł więc do (podówczas) Zakładu Turkologii (dziś jest to Katedra) i pozostał w nim do emerytury.

Zawsze głośno mówił o swoim „slawistycznym rodowodzie” i o tym, jak wiele zawdzięcza swym profesorom (nawet, gdy u schyłku życia odbierał w Sali Senackiej Collegium Novum medal tureckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych za zasługi dla kultury tureckiej i miał wygłosić krótką przemowę, przeszedł w niej gładko od pracy turkologa do wdzięczności, jaką żywi wobec swych slawistycznych mistrzów, po czym zakończył ją zdaniem „Cześć ich pamięci!”). A wśród tych mistrzów byli przede wszystkim Tadeusz Lehr-Spławiński i Franciszek Sławski. U Lehra-Spławińskiego pisał doktorat, a po jego śmierci w 1965 r. kończył go i bronił u Stanisława Urbańczyka. Przystępując do doktoratu, tato miał już trzy książki w dorobku; praca doktorska była jego czwartą publikacją książkową. Chodził ponadto na zajęcia do Jerzego Kuryłowicza i Tadeusza Milewskiego.

W młodości widziałem jeszcze zachowany zeszyt taty z kursu języka azteckiego u Milewskiego; niestety, po śmierci rodziców już tego zeszytu nie znalazłem. Ten kierunek zainteresowań był bliski i mnie. Będąc jeszcze w szkole podstawowej (jak widzę z pieczętki pocztowej, był to rok 1970, a więc miałem 13 lat) napisałem jeden list do Smithsonian Institution, a drugi do Universidad Nacional Autónoma de México, oba z prośbą o materiały do nauki języków Indian. Jaka ta moja ówczesna samodzielna angielszczyzna była, boję się trochę myśleć, ale w każdym razie prośbę moją potraktowano serio – z Waszyngtonu dostałem paczkę (oczywiście za darmo) z grubym tomem *The Indian tribes of North America*, a z Meksyku dwie książeczki do języka azteckiego

(R. Sandoval: *Arte de la lengua mexicana*, México 1965; M. Swadesh / M. Sancho: *Los mil elementos del mexicano clásico*, México 1966). Biorąc pod uwagę, że tato kupił (w 1960 r. – jak wynika z jego podpisu z datą „Kraków, 27.9.60 r.” na stronie antetytułowej) J. Schoembsa *Aztekische Schriftsprache. Grammatik (mit Lautlehre), Text* (Heidelberg 1949), aż dziw bierze, że nie zostałem światowej sławy specjalistą od azteckiego. Ale ciepłe uczucia do tego zakresu językoznawstwa pozostały i kiedyś w Niemczech (chyba w czasie któregoś wyjazdu wakacyjnego w okresie licealnym, czyli gdzieś pomiędzy rokiem 1972 a 1975) kupiłem sobie w antykwariacie gramatykę języka maja-kicze (*Kurze Grammatik der alten Quiché-Sprache im Popol Vuh*, Wiesbaden 1955), rekomendowaną do druku zresztą przez sławistę Maxa Vasmera, a napisaną przez Johannes Friedricha, tego samego, którego książkę *Zapomniane pisma i języki* (Warszawa 1958) czytałem, bo kiedyś kupił ją tato w Krakowie.

Mimo pamięci i ciągłego podkreślania swego sławistycznego rodowodu był mój tato dla całych pokoleń studentów filologii nie sławistą, lecz orientalistą-turkologiem, bowiem od przejścia na orientalistykę był czynny jako wykładowca i promotor na turkologii i w drugiej kolejności na hungarystyce i rumunistyce, ale nigdy już więcej nie proponowano mu zajęć na sławistyce. Bodajże ostatnim jego znanym później w językoznawstwie uczniem sławistycznym, a na dobry ład młodszym kolegą, był Wiesław Boryś, który studia ukończył w 1961 r. (tato – w 1956 r., czyli akurat w roku, w którym Boryś zdał na studia). Boryś wyznał mi kiedyś, że całe swoje etymologiczne ukształtowanie, wszystko to, co się składa na jego naukową osobowość, zawdzięcza mojemu tacie.

POSTSCRIPTUM. Mogę tylko pozazdrościć Borysiowi, że miał swojego mistrza. Ja nie miałem. W jakimś sensie może był nim tato. Ale tato to tato, a ja myślę o sytuacji, kiedy przychodzi się na studia i znajduje się tam obcego człowieka, który staje się dla nas mistrzem, kształtuje naszą osobowość i naszą formację intelektualną. Ja nikogo takiego nie miałem.



9 788383 683973